

# Jan Tulik

## Hotel wielogwiazdkowy

Nie było chleba w żadnym sklepie,  
nie było zresztą sklepu – wszak  
narodowe święto dziś.  
Więc za ostatnie biało-czerwone flagi  
kupiłem pod klasztorem mace i ser, i sok.

*Dostałam śniadanie do łóżka  
pierwszy raz.*

Na gazecie. Na kolorowej gazecie z Jamesem  
Bondem i Mary Strip.

– Bo za oknem tylko deszcz i milczenie bo-  
ciana

na gnieździe – na słupie jak Szymon  
na czerwonym dziobie.

Zimny kran i zielony ręcznik,  
i gęsty koc.

Więc w numerze było wszystko.

(Foldery kłamią, że tu nie ma nic).

Chociaż nocą z łoskotem staczało się niebo  
przez granatowe szyby

pocięte przez diamenty gwiazd

(– *zamówiłeś hotel wielogwiazdkowy, mój  
Mistrzu...*)

śmiałaś się jak strumień,

jak kryształ na posadzce,

jak dzwonek w nagiej wannie.

I wtedy skaleczył mnie ten błysk:

rysował policzek, staczał się za haft

na nocnej koszuli (brązowe nasturcje na  
brązowym tle).

– *Dzisiaj na śniadanie pijemy  
ciche krople Zofio Małgorzato?*

## Pszczoły spod Verdun

Pierwszy świt maja zbudził już mosty  
na Renie, Marnie.

Po to jest cisza, by szepty słyszeć? – Słyszec  
łyzy:

– *Wielu poetów poznało krzyk ciszy.*

Mgła lekka już – budzi lot ważki;

jej falbany przenika brzask.

Słowiki skropione nocnym deszczem

nie podrosną, słońce – ono

będzie się wspinać, podeprze zenit.

Coraz bliżej wieże – kamienne siostry  
nawiasów – w nich rozety katedry w Rouen.

Za mknącą szybą wstęgi kwitnących  
rzepaków

mleczne drogi na złotym atłasie;

rozczesane przestrzenie

na pasma żółte i bure po horyzont;

albo – olbrzymi –

o tak!

największy szerszeń tego świata.

Wszechświata.

Przycupnął pod Verdun, gdzie od wieku

na wieki już drzemią osowiałe garstki

krzyżyków.

– Słyszysz ten szelest skrzydeł i brzęk,  
i szus słodka Onomatopejo?

– *To na miodne rzepak z utajoną oliwą  
zlatują*

*pszczoły w ordynku*

*jak chińska armia z terakoty...*

I w mojej krwi zawrzał rój, twoja ręka

przysiadła

w skorupie mojej dłoni jak kruchy ptak

schroniony

przed okiem kota,

jastrzębia,

procy.

– Nie z tego świata obraz. Przetrwa – to już  
pamięć.

– *Zabłysnął zegar w twoim oku, czyli  
pomyślałeś:*

*czas istnieje, jednak.*

Wypuściłem z żyły pszczołę – terakota ożyje

–

może pomyli żółte pasma szerszenia

z mimozami,

których nie przyjął Mistrz. Które

Małgorzata cisnęła do rynsztoka –

nasze poranne zmartwychwstanie.

## Szepty przy „Początku świata” Courbeta

Wyjął żebro, stworzył kobietę.

Nabił ją na serdeczny palec

uniósł nad sobą –

piwonია zakwitła

płatki polały się aż po kolana,

wtedy tchnął w jej ucho:

Tu.

W tobie jest *Początek świata*.

Zobaczysz to wnet. Za kilka dni  
świątecznych, w Musee d’Orsay.

– *Jest! Ona – szepcesz w ogrzane do purpury  
moje ucho i już wiesz: patrzę na płatki, na  
ciebie.*

– *Sine żyłki na jej udach mrożą?*

*Nie zbudzi twego pożądania. Amen.*

– Słusznie. To

*Początek świata*; Jest

po między udami z odcieniem

paryskiego błękitu.

– *Błękitu Courbeta.*

## Nie wystarczy

Nie wystarczy brylanty tego świata  
gdy brakuje czulej miłości – mówią do ciebie

iskry w kominku, zmożone snem dziecko,

oliwkooki kot na podołku; bo w tym domu

zিয়ে pustką, dotyk parzy jak gorący język

przytknięty do siekiery na mrozie, a słowa

sięką

jak opiłki w oko niefrasobliwego szlifierza.

Więc niechaj się stanie namiot, choćby

z naszych szeptów utkany, a już

będzie błogi dom;

niech choćby obłoki staną za naszymi

plecami,

obłoki z naszych kradzionych oddechów,

a będzie namiot, przymierze.

Kładę cię jak pieczęć na listach mojej

pociętej na pasy wyobraźni, i będzie znów

dom.

Minie twoja rozpacz;

pierzchnie mój mrok,

wraz z mieszkańcami czeluści.

## Pryzmat

To myśmy Cię, Boże, zabili, by żyć.

Ta świadomość jest we mnie bardziej

niż sama w sobie – mówisz.

Tak, przecież ktoś z nas

może się nie zbudzić – myślę,

patrząc na nerwowe powietrze

nad południowym asfaltem – i nie dostrzeże,

kiedy zastygną wahadła zegarów.

Ona widzi:

ktos przy gitarze,

pełnięta struna smaga boleśnie wieczorne

opary

przeznaczone, jak zawsze,

nie dla wszystkich.

## Twoje śpiewy i ogrody

A jednak ich ból nie nad tobą, nie

nad twoją troską.

Tracisz rabaty z herbacianą różą,

śmierdziuszkami

spowitymi światłem – gorącym piekłem

przedwieczoru,

i oni czym ugaszą oczy?

Dach będzie cudzy, nawet niczyj wtedy

i gdzie podzieją piórka zbite gradem?

Zabici ze duży chłopiec drewno na podpałkę

i im nie będzie służył już kominek w płucze.

O, stracisz dobra tak przychylnie gościom,

stracisz to, co tak mami ich spragnione oczy.

Bo cóż im jakieś twoje nowe życie,

nowy parapet, a za szybą droga.

Po co ci nowa czułość w lecie,

jeśli im wiosna zwiędła w podartym

albumie?

Nie nad tobą ich żal i biadanie,

oni tu kładą swój ból fantomowy,

bo twoje tracą śpiewy i ogrody.

Twoje.

